NOWINY TYGODNIA

SOBOTA 28. 4 .1956 r. Nr 16 (312)

DODATEK SPOŁECZNO - KULTURALNY „NOWIN RZESZOWSKICH"

KOŁT „jedenastki"

CZYTELNIKOM zasugerowanym tytułem wyjaśniamy, że piłka nożna niestety nie stanowi centralnego problemu artykułu. „Dogłębne" omówienie tego frapującego tematu pozostawiamy bardziej kompetentnym fachowcom.

Chodzi nam raczej o kulturę, nie tylko fizyczną. Toteż proszę wybaczyć kilka słów wstępu niezbędnego do zapoznania z „folklorem" uroczego miasta powiatowego Mielca.

„Stary" Mielec to klasyczny już dziś egzemplarz małego miasteczka. Waskie uliczki pokryte dobrze zakonserwowanym brudem. Małe, przeważnie jednopiętrowe domki. Cuchnące rynsztoki. „Wiecznie" zaśmiecony, czworokątny ryneczek. Niechlujne stragany. Ciuchy. Faceci oferujący idealny środek na nagniotki, tudzież uniwersalny płyn do wywabiania plam. Kościół. Sznur dewotek ciągnących na nieszpory. Obskurna gospoda wyrzucająca w regularnych odstępach coraz to inne, kompletnie pijane indywidua.

Ale tuż przy tym małomiasteczkowym przyczółku wyrosło inne, nowe miasto. Czerwone prostokąty osiedla mieszkaniowego nie imponują co prawda ani bogactwem architektury ani barwnością elewacji, są jednak wystarczająco odmienne, by nadać miastu bardziej współczesny charakter.

Ten drugi, nowy Mielec przytłoczył swym rozmachem

swego wiekowego sąsiada, zepchnął go do roli przedmieścia i skazał na stopniowe zanikanie. W nowiutkich blokach osiedla zamieszkali ludzie „napływowi" rekrutujący się w większości z byłych mieszkańców wsi.

Jednak „stary" obumierający Mielec wraz ze wszystkimi drobnomieszczańskimi „cnotami" nie myśli o kapitulacji. Wdziera się za pomocą wszelkich dostępnych środków do nowego miasta i usiłuje wyryć swe piętno na rozwijającym się tu nowym życiu. Stara się zahamować postęp, sparaliżować każdą śmielszą inicjatywę, utrzymać za wszelką cenę stęchły klimat małego miasteczka.

M — JAK MŁODOŚĆ

ZGUBNE skutki tego wpływu odczuwa przede wszystkim młodzież. Bo nowy Mielec to w 90 proc. ludzie młodzi — ba — bardzo młodzi. I niedoświadczeni.

Każdy kto miałby jakiekolwiek wątpliwości w tym względzie niech stanie przed bramami WSK i przyjrzy się imponującej paradzie młodości jaka jest zakończenie każdej zmiany. W tłumie opuszczających zakład ludzi, gdzie niegdzie tylko mignie jakaś starsza twarz.

Zmieszajmy się z tą falą młodości. Przypatrzmy się tym młodym ludziom i ich sprawom. Nie trudno będzie już po pierwszych rozmowach zorientować się, że pasją numer jeden mieszkańców Mielca jest piłka nożna. Temat ten nie schodzi z ust.

— „Żyjemy w cieniu kultu jedenastki" — opowiada młody, utalentowany... muzyk. — Wierzcie mi. Po to, by podbić Mielec i szybko zdobyć sobie sławę i rozgłos nie trzeba specjalnych uzdolnień. Wystarczy mieć odpowiednią porcję talentu w... nogach. Za pomocą pary zdrowych i umiejących kopać piłkę nóg, można tu zyskać nie tylko sławę. Można też zdobyć np. etat inżyniera lub technika i stosowne do tego zarobki plus premia i inne przywileje.

Jeśli spotkacie w naszym zakładzie młodzieńca otoczonego nadzwyczajną czułością kierownictwa, rady zakładowej i innych „czynników" możecie być pewni, że jest to jeden z jedenastu wybrańców losu czyli piłkarz z pierwszej drużyny „Stali".

Piłka nożna przysłoniła świat naszym najwybitniejszym działaczom i kierownikom. Na piłkę nożną wydaje się mnóstwo pieniędzy. Na piłkę nożną cała załoga płaci comiesięczny „haracz" w postaci „dobrowolnego" podatku, ściąganego bez względu na piłkarskie zainteresowania ludzi. Piłka nożna w całości zaspokaja potrzeby kulturalne wielu członków kierownictwa zakładu. Nawet kierownik kadr ocenia kandydatów do pracy na podstawie ich sportowych kwalifikacji i prężności bicepsów.

Aktualna kondycja Czyloka (prawy łącznik „Stali") lub forma Grześki czy Procaka — spędza sen z powiek niejednego działacza WSK. Nie wzrusza go jednak ani trochę na przykład fakt, że trzech zdolnych muzyków, (członków orkiestry przy DK), zwolnionych z wojska — żyje z... przepisywania nut.

Nie, nie sądźcie, że jestem wrogiem piłkarstwa. Wręcz przeciwnie. Ale u nas troska o rozwój sportu sprowadza się do troski o jedenastkę najlepszych, do walki o utrzymanie się w II lidze. Poza tym — nie przesadzajmy — są przecież i inne sprawy godne zainteresowania..."

W słowach naszego rozmówcy brzmi wyraźne rozgoryczenie. Zaklina nas — „nie mówcie tylko, że ja to powiedziałem, ja mam tylko miesięczny kontrakt. Natychmiast mnie wyleją"...

Również inni aktywiści pracy kulturalnej zgodnie podkreślają, że zbyt jednostronnie widziana kultura fizyczna przesłania kierownictwu kardynalne braki w pracy nad upowszechnieniem kultury.

PUSTO WSZĘDZIE

WIECZOREM jesteśmy w Domu Kultury WSK. Panująca tu cisza jest nader szokująca. Oto wytwornie urządzona biblioteka i czytelnia. Przytulna, estetyczna i pusta. W szafach pełno książek. Zbiory zdumiewają nieskazitelną czystością opraw. Dziewiczo białe kartki nie są niestety świadectwem czystości rąk czytelników. Książek tych po prostu w znakomitej większości nie tknęła ręka czytelnika.

Jakie formy popularyzacji czytelnictwa stosuje biblioteka WSK i kierownictwo DK? Na to pytanie nie umiał nam nikt odpowiedzieć. Za odpowiedź niech posłuży niesłychanie niska w porównaniu z ilością zatrudnionych — liczba czytelników.

W działalności zarówno kierownictwa DK jak i rady zakładowej WSK trudno przy najlepszej woli dopatrzeć się jakiejkolwiek formy pracy oświatowej. Nie dostrzega się tu wyraźnej groźby wtórnego analfabetyzmu, nie widzi się alarmująco wysokiego procentu pracowników posiadających mniej, niż cztery klasy wykształcenia. Z drugiej strony nie docenia się rosnącego zainteresowania problemami popularno naukowymi.

Nieco lepiej przedstawia się praca artystyczna. Inauguracyjny występ nowoutworzonego „Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Rzeszowskiej" spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem mieszkańców. Mimo nieco żenującej „mieszanki" kostiumowej i trochę nie bardzo zharmonizowanego i zestrojonego repertuaru — zespół ten rokuje jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Gwarancją tego jest szczery zapał do pracy członków zespołu, jest ofiarna praca dyrygenta Mejzy, chórmistrza Samary i choreografa Downarowicza.

OBIECANKI I RZECZYWISTOŚĆ

ENTUZJAZMU tego brak jednak w radzie zakładowej. Nie grzeszy nim również kierownictwo WSK. Cóż z tego, że sekretarz rady zakładowej tow. Duszlak uświetnił pierwszy koncert, dłuższą tyradą, w której przyrzekł „złote góry", skoro do dziś nie można załatwić prostej zdawałoby się sprawy — mianowicie umożliwić wszystkim członkom zespołu uczestniczenie w próbach.

Nie wydaje się, by kwestia przesunięcia do pracy w pierwszej zmianie kilkunastu osób była problemem nie do rozwiązania. Dodajmy do tego, że gdyby nie ofiarność załogi zespół nie miałby ani strojów ani nawet zwykłych pulpitów wykonanych przez robotników w ponadplanowej pracy.

Rozmawialiśmy długo z członkami baletu. Tych „zapalonych" entuzjastów tańca naprawdę trudno zrazić do baletu. Wielu z nich tańczy już od dwóch lat, chociaż pointy i kostiumy do ćwiczeń otrzymali dopiero przed kilku tygodniami. Nie zrażają ich także częste tarapaty z salą do prób. (Próby odbywają się w sali gimnastycznej i balet uzależniony jest od dobrej woli sportowców). Nie zrażają ich nawet wyraźne szykany niektórych kierowników zmian. Np. mistrz zmianowy Gecyło przesunął jednego z członków zespołu do... trudniejszej pracy, zaopatrując tę decyzję wymownym komentarzem:

„JUŻ JA CI TE TAŃCE WYBIJĘ Z GŁOWY"

KIEROWNICTWO DK również nie pała zbytnią miłością do tańca w ogóle, a baletu w szczególności. Dlatego też nauka tańców towarzyskich, która z miejsca zdobyła sobie szalone powodzenie wśród mieleckiej młodzieży — zawieszona została po kilku lekcjach. Przewiduje się też zdecydowane zmniejszenie ilości godzin prób baletu. Ten ostatni zamiar wzbudza szczególny sprzeciw miłośników baletu.

— „Próby tańca są naszą ulubioną i jedyną rozrywką — wołają chórem młodzi baletnicy — nic innego w tym mieście nie mamy. Dancingów nie ma w ogóle. Zabawy należą do nadzwyczajnych rzadkości. Imprezy artystyczne są rarytasami. W trzech kinach powtarzają trzykrotnie te same filmy. Co mamy robić? Czy kisnąć w „ogierni?".

Młodzi chłopcy w soczystych barwach malują życie w owej „ogierni" jak popularnie nazywa się zespół baraków stanowiących hotele robotnicze WSK.

— Niech by tak kto z rady poszedł i zobaczył co się tam dzieje. Tłum młodych ludzi rżnie w „oko", popija wódkę i klnie na czym Mielec stoi. Ale gdzie tam ktokolwiek się tym zainteresuje. „Im" w głowie tylko piłka i troska o to, jakby tu „ściągnąć" ze Śląska jeszcze jakiego dobrego piłkarza".

W zjadliwej, wulgarnej nazwie „ogiernia" kryje się ostra i trafiająca w sedno ironia. Warto się nad tym zastanowić.

W PUSTYM OBSZARZE

ZE WSI przybywa do miasta armia młodych, zdrowych i żądnych przygód ludzi. Otrzymują dobre, a nierzadko i wysokie zarobki. Ci młodzi ludzie, zrzuciwszy więzy obyczajowego rygoru dyktowanego przez wszystkowiedzącą opinię rodzinnej wsi poczuli się nagle wolni i samodzielni. I nie bardzo wiedzą co z tą samodzielnością zrobić.

Łatwo w takich warunkach pójść na lep najłatwiejszej rozrywki. Wódka leje się strumieniami. Kwitnie hazard no i ta najtańsza niewybredna rozrywka z przygodnym partnerem.

O wypełnienie wolnego czasu tych ludzi innymi, bardziej kulturalnymi rozrywkami nikt się nie zatroszczył. Z wyjątkiem... tak z wyjątkiem przedstawicieli owego „starego" Mielca, którzy oferują im drobnomieszczański „styl życia" i takąż mentalność.

A nawet najbardziej emocjonujące rozgrywki piłkarskie luki tej nie wypełnią. Człowiek składa się nie tylko z nóg.

Byłoby jednak absurdem winić za ten niezbyt przyjemny stan rzeczy li tylko kierownictwo i aktyw WSK. Od przodujących działaczy związkowych i kulturalnych można jednak wymagać lepszej, niż dotąd organizacji życia kulturalnego, szerszej inicjatywy i przede wszystkim umiejętności zaktywizowania drzemiących dotąd rezerw.

Nie brak w Mielcu ludzi zdolnych do ożywienia ruchu kulturalnego i umysłowego, do zdecydowanego przeciwstawienia się kołtuństwu, marazmowi i urzędniczemu skostnieniu odpowiedzialnych za pracę kulturalną ludzi.

Czas wyciągnąć rękę do pokaźnej armii młodej inteligencji, która zasklepiła się we własnym ciasnym gronie i boi się wychylić głowy, by nie narazić się ludziom czującym się zbyt pewnie w swych wygodnych fotelach.

Jest też w Mielcu dużo dobrej i chętnej młodzieży, łaknącej nowych form życia kulturalnego i towarzyskiego. Nie brak wśród nich ludzi pełnych energii i żądzy czynu. Skierować ten ogromny ładunek energii, zapału i młodości na właściwe tory — oto jedno z najbardziej aktualnych zadań.

Ale zadania tego nie da się wykonać w sposób administracyjny. Prezydium rady zakładowej nieraz „stawiało" na zebraniach sprawy Domu Kultury. Mówiono o zmianie takiego czy innego instruktora, o przesunięciu takiego czy innego fachowca. To doprawdy nie wystarczy.

Aby uzdrowić sytuację, aby Dom Kultury stał się tym czym być powinien — to jest ośrodkiem kierującym całokształtem życia kulturalnego miasta — do współpracy trzeba zaprosić wszystkich chętnych i zdolnych ludzi. Odwołać się do najlepszych przedstawicieli młodej inteligencji i stworzyć im warunki do aktywnego włączenia się do pracy nad rozwojem życia kulturalnego w mieście.

ZDZISŁAW JAGIELSKI

Porozmawiajmy

WINNI SĄ WŚRÓD NAS

PO PRZECZYTANIU artykułów pt. „ŚWIATOPOGLĄD i ETYKA" oraz „LISTY i ANONIMY" chciałbym dodać kilka uwag dotyczących poruszonych przez autora problemów. Autor pierwszego artykułu tłumaczy przyczyny dwulicowości tych nauczycieli, którzy wykładają przyrodę na zasadach materializmu naukowego i jednocześnie uczestniczą w praktykach religijnych. Autor przytacza takie argumenty jak sprawy obyczaju, nacisk ze strony rodziny i środowiska. Pomimo iż wymienione przyczyny istnieją, to nie są one moim zdaniem groźne dla nauczyciela, który zerwał ostatecznie z przesądami i wykształcił w sobie światopogląd naukowy.

Gdy nauczyciel niewierzący popadnie w konflikt z rodziną, to po przejściowych starciach i nieporozumieniach konflikt ten zniknie. Rodzina potrafi przejść do porządku nad tymi sprawami i chociaż może nie zgadzać się z poglądami swego krewnego, nie zawsze uciekać się będzie do nacisku. Również z opinią środowiska można by sobie poradzić. Konsekwentna i szczera postawa nauczyciela potrafi zmusić do szacunku nawet najbardziej rozfanatyzowane otoczenie.

Znacznie trudniejsze i bardziej groźne dla postępowego nauczyciela jest inne zjawisko. Oto są takie środowiska nauczycielskie, które w imię jakiejś tam „opinii" wywierają ujemny wpływ na nauczyciela jawnie manifestującego swe ateistyczne przekonania.

Mam na myśli środowisko nauczycielskie w powiecie łańcuckim. Znam małżeństwo nauczycielskie, które nie uznaje praktyk religijnych — nie chodzi do kościoła, poprzestaje na ślubie cywilnym, nie chrzci dziecka itp. Małżeństwo to jest jawnie szykanowane przez innych nauczycieli. Napotyka na wiele przeszkód, staje nawet wobec groźby dwoistego bojkotu już nie tylko towarzyskiego, ale nawet zawodowego.

Dodam do tego, że wśród zwierzchników tej pary nauczycielskiej znajduje się między innymi fanatyk chełpiący się przy każdej okazji, że ma kilku księży w rodzinie i że wszelkie „rewolucyjne" wystąpienia młodych nauczycieli trzeba tępić w zarodku.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na klasowy charakter tej ideologicznej walki. Nauczyciele wierzący pozostają często pod wpływem kleru i ludzi, którzy pozbawieni zostali przez reformę rolną i upaństwowienie przemysłu — swych fortun. O tym, że tak jest przekonałem się na przykładzie własnego otoczenia.

Wydaje mi się więc, że walkę o właściwą postawę nauczycielstwa trzeba zacząć przede wszystkim od pracy uświadamiającej wśród samych nauczycieli. Od oczyszczenia atmosfery wśród części nauczycielstwa. Winni są wśród nas".

PRZYTOCZYŁEM fragmenty listu nadesłanego przez nauczyciela z pow. Łańcut. Nieco przesadny ton listu i pewne przejaskrawienie sytuacji są niechybnie wynikiem osobistego rozgoryczenia i rozczarowań przeżytych przez autora listu. Niemniej poruszona przezeń sprawa jest alarmującym sygnałem, że praca polityczno-organizacyjna wśród nauczycielstwa łańcuckiego posiada rażące luki i niedomagania.

Wydaje się, że Związek Zawodowy Nauczycielstwa Polskiego wykazał się tu zaiste dużym niedbalstwem i nieróbstwem zwłaszcza w pracy szkoleniowej. Z dalszej treści listu wynika, że żona autora „wygryziona" została z szeregów nauczycielskich i że wszelkie jego interwencje u władz związkowych i oświatowych, nie dały rezultatu.

Czyż tego rodzaju alarmy nie powinny być taranem rozbijającym mur obojętności i skostnienia jakim oddzieliły się władze związkowe od nauczycieli w terenie?

Nie twierdzę wcale, że uzdrowienie atmosfery wśród części nauczycielstwa w powiecie łańcuckim jest sprawą prostą do przeprowadzenia. Odrobienie dotychczasowych jaskrawych zaniedbań wymagać będzie intensywnych wysiłków ze strony aktywu nauczycielskiego i władz oświatowych.

Nic jednak nie zrobi się samo. Oczekujmy więc konkretnego, przemyślanego i rzeczowego działania. Takie tolerowanie wstecznictwa i dwulicowości wśród ludzi, którym powierzyliśmy wychowanie naszej młodzieży — jest wielką krzywdą wyrządzaną przede wszystkim samej młodzieży.

OBSERWATOR

TEATR W RZESZOWIE PRZED STU LATY

(III)

10. „KOMEDIA Z SALONU"

OMÓWIENIE repertuaru, z jakim trupa Chełchowskiego występowała w sierpniu 1853 r. w Rzeszowie, nie byłoby kompletne i dało by niepełne pojęcie o charakterze ówczesnej „dramaturgii masowej", gdybyśmy nie zatrzymali się chociaż na chwilę przy jednej z bardziej znanych i popularnych wtedy pozycji. Nie wdając się w szczegółową analizę treści i formy utworów tłumaczonych najczęściej przez przypadkowych i anonimowych autorów—zajmiemy się sztuką polską pod tytułem „Biała kamelia", czyli jak się wówczas mówiło „oryginalną". Nie udało się wprawdzie odnaleźć jej tekstu w drukowanej postaci, ani starego egzemplarza teatralnego, ale dzięki starym, pożółkłym recenzjom możemy przytoczyć wcale dokładne streszczenie utworu pióra Andrzeja Listowskiego, komedii, która bawiła publiczność rzeszowską przed stu laty. Oto streszczenie akcji i intrygi „Białej kamelii" w autentycznym, dosłownym brzmieniu:

„Rzecz między dwiema osobami, małżonkami. Mąż otrzymuje bilet od Józefiny, swej pokątnej kochanki, zawiadamiający go, że czeka nań na reducie, że dla poznaki włoży czerwone domino z białą kamelią. Mąż po odebraniu biletu umyślił pójść na redutę, lecz przez zapomnienie zostawia bilet na stole i wychodzi z pokoju. Następnie przybywa żona, a ujrzawszy bilet odczytuje go i dowiedziawszy się o treści, składa bilet na powrót. Mąż wraca i zabiera zręcznie ten bilet ze stołu tak, aby żona nie spostrzegła, która to widząc zapytuje: co on chowa?... Tu następują wymawiania się niezręczne męża i wikłania — zdradza się mąż, że karetę sobie zamówił. Żona bada go ciągle, udając, że się niczego nie domyśla.

Godzina naznaczona schadzki zbliża się, a żona go nie puszcza. Zniecierpliwiony udaje, że chce pójść na resurs, aby odegrać się po przegranej — wtedy żona oświadcza mu, że ona pojedzie na redutę. Mąż niedozwala jej, stąd sprzeczki. Wreszcie gdy żona uległa, że zostanie w domu, mąż uradowany zabiera się ku odejściu, a przez drzwi dla przeproszenia z żoną — zasyła jej pożegnania.

Podtenczas żona przebrawszy się w czerwone domino z białą kamelią nadchodzi w masce innymi drzwiami i udaje Józefinę przybywającą do niego, jako zrozpaczoną niedotrzymaniem przezeń schadzki. Zmieszany mąż, lękając się nadejścia żony, chce się jak najprędzej pozbyć mniemanej Józefiny. Ta wymawia mu niewierność, on zaklina o ciche mówienie, ona głośno szlocha. Chce ją wypchnąć, ona wrzeszczy w spazmach. Mąż przerażony, że może żona nadbiec, nie wie co począć i dopiero żona odsłania maskę, a mąż poznaje, że był przedmiotem igraszki".

Mamy tu do czynienia z typową komedią omyłek i nieporozumień, która jednocześnie [illegible] komedią z salonu", gdyż [illegible]arza obyczaje i moralność „wyższych sfer towarzyskich". Lata pogrążyły „Białą kamelię" w zapomnieniu. I nie można się temu dziwić, bo prawdopodobnie zręcznie zbudowany ale rażący naiwnością komediowych sytuacji i w gruncie rzeczy mało oryginalny utwór wcale na pamięć nie zasługiwał. Kiedyś jednak komedia Listowskiego musiała być użyteczną pozycją repertuarową, zwłaszcza dla scen objazdowych (żywa akcja, dowcipny dialog i co najważniejsze mała obsada — rozumowanie w wielu wypadkach i dzisiaj spotykane).

Zresztą, zgodnie z opinią krytyki sprzed stu lat, „Biała kamelia" nie była pozbawiona innych zalet: *„Fraszka ta, jak możemy sądzić jest to utwór maleńki dla jednochwilowej rozrywki, ale napisana potoczyście, z francuską lekkością tutaj właściwą. Dobre było pod chwycenie męża roztargnionego, natrąceniem wspominki nazwiska żony Napoleona — Józefiny".* Nie znaczy to jednak, by recenzent aprobował utwór bez zastrzeżeń. Na przykład dowcip mówiący o tym, że *„żona jest to chleb powszedni, a kochanka jest to ostryga, pierwsze miewa się codziennie, drugie rzadko, pierwsze jest pewne, drugie niebezpieczne, bo często niestrawne"* — został w recenzji uznany za „gruby" i napiętnowany. (według Karola Estreichera).

11. „GWIAZDY WĘDROWNEJ SCENY"

SPRÓBUJMY teraz odtworzyć sylwetki najwybitniejszych spośród aktorów, których w roku 1853 oklaskiwała publiczność rzeszowska w sali Luftmaszyny.

Wspominaliśmy już, że z powodu choroby Tomasz Chełchowski nie mógł przyjechać ze swoją trupą do Rzeszowa. Kierownictwo artystyczne i administracyjne tego objazdu objęła aktorka Grochowska, nazywana „dyrektorem w spódnicy". Wprawdzie zdarzało się już wtedy, że zespołami teatralnymi kierowały kobiety, ale były to wypadki raczej odosobnione. Jak głosi tradycja krakowskiego teatru, na którego scenie przez wiele lat Grochowska występowała — nie odznaczała się ona talentem wybitnym, ale celowała w rolach „salonowych intrygantek, matek, złośnic, starych panien". Do poważnych swoich osiągnięć zaliczała Grochowska Majstrową w „Majstrze i czeladniku" Korzeniowskiego, mniej natomiast podobała się w rolach tragicznych, wymagających zupełnie innych dyspozycji niż komedia lub farsa. W omawianym przez nas okresie była to „panna już nie młoda", ale „przy twarzy gładkiej, dobrej figurze, wzroście wydatnym i silnym głosie". Miała zgrabną sylwetkę, umiała efektownie nosić kostium, do każdej roli wprowadzała wiele swobody i bezpośredniości.

Znacznie wyższe jednak kwalifikacje aktorskie reprezentowała najlepsza siła zespołu, odznaczająca się wyjątkową wszechstronnością i bogactwem środków artystycznych — Barbara Linkowska. Mimo niezbyt szczęśliwych warunków zewnętrznych (*„mała, niska, około trzydzieści lat mieć mogąca, nieładna, z trupią żółtokościstą twarzą, oczami smętnymi, ponurymi... na ściśniętych spalonych wargach, zdaje się, nigdy śmiech nie postał"*) potrafiła przeobrażać się na scenie w kobiety pełne powabu, wdzięku i uroku. Od chwili debiutu w teatrze krakowskim zdobyła uznanie krytyki i wielką sympatię widowni. Grę Linkowskiej obok rzadko spotykanej wtedy staranności graniczącej z precyzją cechowała przede wszystkim niezmierna ruchliwość i temperament. *„Wesołość, żywość i zwinność jej były naturalne aż do złudzenia", „prawie wszędzie trzeba ją chwalić, a bardzo rzadko błąd sprostować", „występując w najrozmaitszych, często najsprzeczniejszych rolach komicznych, poważnych lub naiwnych, żadnej nie zepsuła, nie poniżyła się do mierności, a najlichszej roli umiała nadać charakter wybitny"* — stwierdzają jednogłośnie recenzenci.

„Linkowska grała mistrzowsko" — pisze Karol Estreicher. — *„Niezawodnie, że ona jest perłą w całej kompanii Chełchowskiego. Nieładna, bez wzrostu, umie stać się miłą, przyjemną, pięknej kibici, umie być młodą i starą, złą i dobrą, wesołą, naiwną, tkliwą i rozpaczającą".* Wyjątkowo trafną charakterystykę aktorstwa Barbary Linkowskiej zamieścił kiedyś „Czas" krakowski notując w sprawozdaniu teatralnym, że *„ma ona cechę prawdziwego talentu, bo nie gra, ale żyje rolą i zapomina o scenie i widzach".*

Wydaje się, że po przytoczeniu takich opinii współczesnych nikt nie będzie wątpił, że Linkowską, która żonę w „Białej kamelii" grała — jak notuje recenzja krakowska — „z wielką filuterią i przymilaniem" — musiano przyjmować w Rzeszowie owacyjnie i bardzo serdecznie.

Drugim filarem trupy Chełchowskiego — i zapewne ulubieńcem rzeszowskiej publiczności — był mąż Barbary Linkowskiej — Adolf Linkowski. Był to aktor celujący w rolach charakterystycznych i groteskowych i odznaczający się szczerym, naturalnym komizmem *„chociaż można by rzec o nim tak, jak i o jego żonie, że dotąd żadnej roli nie zepsuł i umiał być poważnym tam, gdzie potrzeba"*. Niemłody już, niski, otyły, o twarzy nieładnej ale za to bardzo wyrazistej, miał głos głęboki, basowy, dudniący. Odznaczał się pewną jednostajnością dykcji i powolnym nieco tempem mówienia ze skłonnością do przeciągania samogłosek. W czasach, kiedy grywał na scenie krakowskiej i występował z trupą objazdową na scenie „Luftmaszyny" ceniono go przede wszystkim za rolę Rapiniera w „Pamiętnikach szatana" (dodajmy, że sztukę tę oglądał Rzeszów w sierpniu 1853 roku). Bezczelnego intryganta miał Adolf Linkowski grać tak charakterystycznie, że „ktokolwiek go raz widział w tej roli, nigdy go nie zapomni". Zdaniem naszego niestrudzonego informatora, Karola Estreichera *„posiada on rzadki dar, fizjonomię ruchliwą, zdolną wyrażać najgłębszy stan duszy", a ponieważ „niejeden rok przeskakał przed zwierciadłem i twarz w nim naprzekrzywiał, dlatego umie zawsze stosownie wystąpić"*. Grywał Linkowski w Rzeszowie główne role komiczne, starców i ojców.

Pierwszym amantem zespołu był Ignacy Kaliciński, który przed laty prosto z liceum krakowskiego wstąpił do trupy Chełchowskiego rzuciwszy „gramatykę dla dramatyki". Specjalizował się w rolach „trzpiotów" i dlatego do ulubionego przez siebie repertuaru zaliczał „Białą kamelię", w której stworzył żywą i zabawną sylwetkę Męża. Zarzucała mu jednak krytyka krakowska, że *„roli swej nie umiał dokładnie"* i że *„zacierał ciągle ręce... a nie mógł pozbyć się wady niezgrabnego wkładania rąk do kieszeni od spodni, co przy jego ubiorze w palto sprawiało niemiły efekt..."*

Przystojny i z tego powodu — jak to się i dzisiaj amantom zdarza — mający zbyt wielkie o sobie wyobrażenie *„nieco za wysokiego wzrostu i barków szerokich, nie miał eleganckiego łamania się w ruchach". „Nie dostało mu uczucia, delikatności i powagi — nie rozumiał cech namiętności, tkliwych wrażeń lub rozpacznej deklamacji, dlatego w dramatach historycznych grał zaledwie znośnie"* — pisze o Kalicińskim K. Estreicher. Podobał się natomiast historykowi teatru jako Mazepa, bo „rola roztrzepańca zawsze dlań jest właściwą".

12. SUKCES ARTYSTYCZNY ALE NIE KASOWY

W RZESZOWIE trupa Chełchowskiego natrafiła na poważne trudności obsadowe, gdyż brakowało aktorki do ról kochanek, czyli „naiwnych". Zamiast panny Targowskiej, która do Rzeszowa nie przyjechała, jako „pierwsza naiwna" występowała jej siostra Krzyżanowska — bez większego powodzenia.

A czy w ogóle można powiedzieć, że gościnne występy aktorów krakowskich w Rzeszowie cieszyły się w roku 1853 powodzeniem? Brak nam, niestety, tak istotnych dowodów jak recenzje teatralne, gdyż Rzeszów nie miał jeszcze wtedy własnej prasy, a wzmianki w innych dziennikach i czasopismach na temat życia teatralnego naszego miasta były — podobnie jak i w roku 1956 — nieczęste i nader skąpe. Ale miarodajne mogą być znowu nasze stare afisze — zawdzięczamy im przecież niejedną już cenną informację.

A więc, jeżeli ceny biletów na przedstawienia trupy Chełchowskiego wynosiły początkowo: 1 złoty reński, 40, 30 i 10 krajcarów, to po kilku doświadczeniach (teatr grał w Rzeszowie przez 6 dni) trzeba je było obniżyć do 40, 30, 20 i 10 krajcarów. Sukcesowi artystycznemu nie towarzyszył tym razem sukces kasowy, bo jak pisze o pobycie aktorów krakowskich w Rzeszowie K. Estreicher — *„a lubo teatr dość był zapełniony, zapewne jednak nie odpowiedział nadziejom"*.

13. BALET WIEDEŃSKI I TEATR MAŁP

PRZED STU laty obok teatrów polskich odwiedzały również Rzeszów — ze względu na liczny garnizon wojskowy — a teatry niemieckie. Na przykład we wrześniu roku 1857 przyjechał tu teatr niemiecki z Tarnowa pod dyrekcją Ludwika Martinjusa, który w sali Hotelu Luftmaszyny dał 16 przedstawień. W listopadzie tego samego roku afisze zapowiedziały specjalny występ, również w sali Luftmaszyny, Baletu Wiedeńskiego National Taenzer Geselschaft (dyrekcja: Józef Schier). Program popisów baletowych dziesięcioosobowego zespołu obejmował przede wszystkim tańce ludowe: taniec tyrolski, czardasz, taniec słowacki, hiszpański, rosyjski, węgierski oraz krakowiak w wykonaniu solistki Baletu Wiedeńskiego Luizy Richter.

Nie byle jaką sensację wywołać musiały produkcje głośnego w owym czasie „Teatru małp", który objeżdżając pod dyrekcją Lorenza Casanovy całą niemal Europę nie ominął w październiku 1857 roku Rzeszowa i Przemyśla. Zachował się w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej afisz tej imprezy z pociesznym rysunkiem małpy dosiadającej jak woltyżerka cyrkowego konia. Program — nazywany wtedy „opisaniem" — występu „Teatru" (może raczej — cyrku małp) napisany dość niezwykłą polszczyzną warto przytoczyć w całości i bez żadnych zmian:

ODDZIAŁ I

1. Obiad u Afrykanów, komedia w I oddziale.

ODDZIAŁ II

Sąd doraźny albo: dezerter z miłości, poważna dramatyczna scena przedstawiona przez 3 małpy.

Duet przy kądzieli, przedstawiony przez 2 szkockie pincze Loli i Amelchias.

Pas de Grace, wykonany przez małą Kolumbinę.

Biegły muzykus i żołnierz, przedstawiona przez odważnego Mandrilla Mamoka i gniewliwego Mandrilla Jacko.

Skoczek na linie, przedstawiony przez hiszpańskiego pincza Haray.

Czołganie węża i bieg po beczce, wielka nadzwyczajna produkcja przez szkockiego pincza Papillon.

Sławny pies szkolny Kahlmann, wielka nadzwyczajna produkcja na kuli przez jedwabną małpę Amellię.

Promenada faworytki pani Pompadour.

Przygody na przejażdżce pani Batavia, scena komiczna przez więcej członków towarzystwa.

ODDZIAŁ III

Mały koń szkolny Flora, z wolnej ręki tresowany.

Wielki cyrk gimnastyczny, szkolny koń Pluto, ogier szkocki z wolnej ręki tresowany i jeżdżony przez odważną brazylijańską małpę Waldmann.

Wielka produkcja małej małpy czarnej Jocko na linie.

Węgierska poczta Czikos, jeżdżo na przez gniewliwą małpę niebieską Mandrill na 6 kucykach.

ODDZIAŁ IV

Na zakończenie: nieprzestraszony ogniowy buldog Koks w brylantowym fajerwerku".

O powodzeniu „teatru małp" w Rzeszowie mówią 4 „bite komplety" na tym samym programie przy wcale wysokich cenach: krzesło numerowane — 1 złoty reński, miejsce stojące — 30 krajcarów. I znowu korzystamy z informacji udzielonych nam przez stare, zapomniane afisze.

Pewnego listopadowego dnia 1858 roku zecer rzeszowskiej drukarni Pelara otrzymał do składania tekst następujący:

„DONIESIENIE TEATRALNE"

Towarzystwo dramatyczne polskie ma zaszczyt donieść, że przybędzie 22 bm. do tutejszego miasta, o rozpoczęciu zaś dawania widowisk osobnymi afiszami zawiadomi, nadmieniając, iż krótki czas zabawić tutaj zamyśla, poleca się względom światłej i łaskawej publiczności".

(—) A. Gubarzewski
Dyr. teatru polskiego

Zazwyczaj podobne zawiadomienia nie gardziły ani gadatliwą reklamą ani nadętą przesadą, miały w sobie coś z oracji weselnej i coś z monologu jarmarcznego sprzedawcy. Ale tutaj każde słowo miało swoją wagę, było przemyślane i odmierzone. Nowe doniesienie teatralne przypominało ukłon eleganta, bywalca szerszego niż ówczesna prowincja świata — uprzejme ale pełne godności, nie narzucające się, a przecież zwracające uwagę. Sam tekst skreślił ktoś równym, wyrobionym, niemal kaligraficznym pismem, a zamaszysty podpis świadczył, że dyrektorowi teatru polskiego nieobca była praktyka urzędnicza.

Rozpoczynał się nowy rozdział teatralnych dziejów Rzeszowa. Ale o tym —następnym razem.

JERZY PLEŚNIAROWICZ

SPRAWA MONOGRAFII *o IGNACYM* ŁUKASIEWICZU

Dnia 21 bm. odbyło się w Krakowie zebranie nowopowstałego Zespołu Historii Polskiej Techniki Naftowej przy sekcji historii techniki i nauk technicznych Komitetu Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Na zebraniu postanowiono opracować zespołowo technologiczną część monografii o Ignacym Łukasiewiczu, gdyż część biograficzną opracował docent Uniwersytetu Jagiellońskiego dr Jerzy Pilecki.

Ponadto postanowiono po ukończeniu prac nad monografią o Ignacym Łukasiewiczu przystąpić do opracowania monografii polskiego przemysłu naftowego.

Równocześnie powzięto uchwałę aby rozpocząć starania w sprawie utworzenia Muzeum Przemysłu Naftowego im. Ignacego Łukasiewicza w Bóbrce koło Krosna, gdzie powstała w 1854 roku pierwsza w Polsce kopalnia ropy naftowej i z którą związana była działalność przemysłowa Ignacego Łukasiewicza. Oprócz tego uchwalono podjąć starania w celu utworzenia w Krakowie i Krośnie zbiorów muzealnych pamiątek po Ignacym Łukasiewiczu.

W związku z tym, Zespół Historii Polskiej Techniki Naftowej postanowił zwrócić się za pośrednictwem prasy do tych wszystkich osób które posiadają jakiekolwiek materiały historyczne odnoszące się zarówno do osoby Ignacego Łukasiewicza jak i polskiego przemysłu naftowego, aby zechciały je udostępnić do wykorzystania przez wspomniany zespół przy opracowaniu wymienionych poprzednio monografii.

Materiały te uprasza się przesyłać na ręce przewodniczącego Zespołu prof. Jana Cząstki, Akademia Górniczo Hutnicza, Kraków — Aleje Mickiewicza 30.

Również bardzo wartościowe będą wszelkie informacje o materiałach historycznych jak i przedmiotach zabytkowych odnoszących się do osoby Ignacego Łukasiewicza lub też polskiego przemysłu naftowego.

W KRĘGU SZEKSPIROWSKIEGO CZARU

DO DNIA dzisiejszego toczy się spór o osobę Szekspira. Co jakiś czas nowa, sensacyjna hipoteza zmienia mu życiorys, nazwisko i pochodzenie. W najbliższym czasie szekspirolodzy dokonają legalnego włamania do grobowca dramaturga. Spór trwa i jest miarą nie tylko wielkości autora, ale przede wszystkim jego aktualności. Tysiące zwietrzałych sztuk, nieznanych nawet czasem historykom teatru, zapomniano tuż po premierze — wiele jeszcze podzieli ich los, a dzieło szekspirowskie będzie trwać, póki choć jeden teatr rozbłyśnie o wieczornej porze światłem kinkietów.

Mądrość filozofii i życia, humor i wdzięk poezji, największa zbrodnia i szlachetność żyją obok siebie w dziele tajemniczego dramaturga, podporządkowane logice sceny, bo ona jak to już stwierdził Arystoteles jest najwyższym prawem dla Teatru.

Wśród dzieł Szekspira wyjątkowe miejsce zajmuje „Sen nocy letniej". Urocza, romantyczna baśń napisana i wystawiona z okazji zaślubin mocno już podstarzałej pary, do dziś nie straciła nic ze swej świetności i blasku.

Rojący się od anachronizmów, rzekomo ateński dwór gotuje się do zaślubin księcia Tezeusza i Hipolity, królowej Amazonek. Strzała Amora zastępuje w tym świecie wskazówkę słonecznego zegara. Sprawy miłości — jak wszędzie dotyczą nie tylko władcy kraju, ale również jego poddanych. Kapryśny bożek miłości płata figle. Młodzi dworacy, Lizander i Demetriusz, zakochują się w pięknej Hermii i trzeba będzie dopiero interwencji nieziemskich potęg, aby porzucona Helena odzyskała kochanka Demetriusza i trzy pary oblubieńców w jednym dniu stanęły na ślubnym kobiercu.

Świat bogów, elfów i duszków na ogół życzliwie miesza się w życie ludzkie. Czasem wprawdzie magia słów — zakropiona lecznictwem ziołowym — pomiesza szyki, ale zawsze znajdzie się ktoś, kto wszystko naprawi. Bogowie rozumieją ludzkie serca i pragnienia, bo sami na wzór ludzi kochają, pożądają. Oberon, król elfów i ich królowa Tytania, z nazwy przypominająca metamorfozy Owidiusza, reprezentują czar romantycznej poezji. A jeśli im nawet „boskie życie" płata figle — to też czasem tylko po to, aby raz jeszcze udowodnić szekspirowską prawdę, że miłość jest ślepa. Poezja panuje nad życiem ateńskiego dworu i lasu.

Świat ludzi i świat bogów, zaczerpniętych z folkloru otwiera hymn miłosny. Stąd wyjątkowe wprost nasycenie dziwnością i liryzmem — pogodnym, prowadzącym do idealnych i idyllicznych rozwikłań „Snu nocy letniej", kolorowego, faktycznego snu. Ale w jego atmosferę wnosi Szekspir również ciętą satyrę, burleskę i parodię. Kompania mistrza Pigwy raz po raz maci nastrój baśniowej nocy. Swoim rubasznym występem uświetni finał sztuki — jakby dając sygnał, że sen się już skończył, pora wrócić do trzeźwego życia. Głupawi, domorośli aktorzy grzebią czar nocy w bełkocie naiwnych dialogów idiotycznej tragedii.

„Sen nocy letniej" panuje od wielu lat na scenach światowych. Zawładnął nawet filmem, był nadawany jako słuchowiska radiowe i telewizyjne. W Polsce widzieliśmy wiele ciekawych inscenizacji tej sztuki. Szekspirowska komedia poezji i pomyłek weszła na afisz rzeszowskiego teatru. Aktualna inscenizacja nie jest kopią znanych, tradycyjnych ujęć — jest nową, udaną próbą spojrzenia reżyserskiego. Myślę, że w historii „Snu nocy letniej" na scenach polskich nowatorska i w pełni przekonywająca koncepcja dyr. Morycińskiego zajmie poczesne miejsce. Reżyser zamknął widowisko w trzech aktach. Tradycyjny podział na pięć aktów ustąpił logice dynamicznego układu. Zachowano przy tym pietyzm tekstu, który dotarł do widza prawie w całości.

Reżyser wysunął na plan pierwszy motyw miłości. Zaakcentowanie akcji miłosnej pogłębiło czar szekspirowskiej poezji, a równocześnie pozwoliło na większą jej dramatyzację. Inscenizator znakomicie operując nastrojem, zawierza wyobraźni widza. Pomagają mu w tym scenografia i muzyka. Oryginalnie skomponowana scenografia Salomei Gawrońskiej i Ireny Perkowskiej, utrzymana w szarym tonie, stanowi doskonałe pole popisu dla reflektorów, które wypełniają dowolną treścią emocjonalno - wizualną niezagracone wnętrze.

Jak w klasycznej sztuce dekoracja pozornie się nie zmienia. Kolumny i ledwo zaznaczony kolumnowy las. Rytm malarskiego płótna, na który można kłaść wszystkie barwy gestu, słowa, światła i kostiumów (kolorowych i ładnych). Można wzmocnić nastrój muzyką. Spodziewałem się Griega, ale w tej raczej kameralnej koncepcji widowiska bardziej przydatna okazała się skromna i melodyjna muzyka Mariana Stroińskiego, precyzyjnie nagrana w miejscowej Filharmonii. Zespół aktorski wyszedł z trudnego zadania obronną ręką. Pod kierunkiem wytrawnego reżysera gra nabrała cech zespołowych i dlatego w jej ocenie zatrzymam chronologię, ciekawie opracowanego programu teatralnego.

WITOLD GRUSZECKI był powściągliwym, rozważnym i dystyngowanym księciem Aten. HENRYK RÓZGIEWICZ zaś porywczym i surowym ojcem Hermii. ZDZISŁAW SUKNAROWSKI stworzył przekonywającą postać Lizandra. Okazał się namiętnym, gwałtownym i w miarę swych sił ludzkich wytrwałym kochankiem. Dobrze mówił wiersz głębokim, ujmującym głosem. Tym razem ustrzegł się niepotrzebnego patosu. BOGUSŁAW SOCHNACKI jako Demetriusz dał przykład kochanka dość flegmatycznego, tylko w ostatecznych chwilach zdolnego do gwałtowniejszych posunięć. O ile recenzentowi wolno bawić się w proroka, myślę, że gdyby trafił na bardziej energiczną żonę niż Helena, byłby typowym pantoflarzem. RYSZARD MAJOR sprawnie kierował ceremoniałem jako Filostrates. Rzemieślnicza trupa aktorska dała rzeszowskiej publiczności niejedną okazję do gromkiego śmiechu. IRENEUSZ ERWAN zagrał rolę Pigwy prosto, lecz wyraziście, osiągając zamierzony cel. JULIAN KRZYWKA jako Spój zademonstrował artystyczne umiejętności ateńskich stolarzy. ZDZISŁAW KOZIEŃ zwycięsko wyszedł z trudnej roli Spodka. Umiał przepoić ją odpowiednią dozą naiwności, sprytu i nieporadności. Wdzięcznie poruszał rów nież oślą głową. WŁODZIMIERZ KOWALÓW jako Ryjek i KLEMENS ROMAN jako Zdechlak oraz JERZY WITOWSKI (Duda) nie ustępowali swoim towarzyszom. JADWIGA ULATOWSKA była ponętną królową Amazonek, aczkolwiek inną opinię mieliśmy dotąd o tym surowym plemieniu niewieścim. Ta zdolna aktorka, dysponująca dobrymi warunkami — na pewno nie raz jeszcze da ciekawą kreację.

Podobała mi się również HANNA TOMCZYKIEWICZ jako pełna temperamentu, a zarazem kobiecego wdzięku Hermia. IRENA CHUDZIKÓWNA sprawnie zagrała rolę zdradzonej Heleny — jak również szczęśliwej kandydatki na żonę Demetriusza. WALDEMAR SKRABACZ reprezentując świat bogów, utrafił celnie w ich cechy ludzkie, podobnie zresztą jak ZOFIA GORCZYŃSKA w roli demonicznej królowej elfów. MAGDALENA NOWAKOWSKA była znakomitym Pukiem. Taneczne ruchy, płynność, trafna gestykulacja, ciekawy, aczkolwiek czasem aż ryzykowny głos, którym wybornie mówiła wiersz szekspirowski, dały w całości jedną z najciekawszych postaci aktorskich sztuki. EUGENIA SOBOLEWICZ miała mniejsze pole do popisu, ale umiejętnie zagrała Elfa. Ten cały świat elfów, to bardzo kłopotliwe zadanie dla współczesnego reżysera, jeśli chce on dać nie naiwną bajkę, ale poetyczną baśń lasu. W Anglii np. próbowano stworzyć umowny świat duchów, nie ukazywać ich zupełnie widzowi — zaznaczać jedynie światłem. U nas raczej personifikowano dobre, przyjemne duszki — posługując się dorosłymi statystami, czy aktorami. Hugo Moryciński wpadł na oryginalną myśl, wprowadzając do sztuki dzieci, jako elfy. W Rzeszowie grają one wdzięcznie, z poczuciem scenicznej dyscypliny.

Przedstawienie rzeszowskie ujęło „Sen nocy letniej" na właściwych proporcjach, co raz jeszcze pragnę podkreślić. Dzięki temu nie odczuwaliśmy znużenia, akcja toczyła się wartko, napięcie uwagi na widowni nie słabło. Poza reżyserem i scenografami ma tu jakąś zasługę K. I. Gałczyński. Żywy, barwny, o niebo bliższy nam niż koźmianowski, przekład świetnego poety pomaga i aktorom i widzom. Wywarł na nim niewątpliwie Gałczyński swoje indywidualne piętno, podobnie jak na rosyjskich przekładach z Szekspira świetny tłumacz i poeta Borys Pasternak. Np. czy farsa rzemieślników nie przypomina językiem i rytmem teatrzyku Zielonej Gęsi?

Jestem przekonany, że „Sen nocy letniej" będzie cieszył się wielkim uznaniem rzeszowskiej publiczności. Potrzeba poezji na scenie jest wielka, a czar romantycznej przygody szekspirowskiej pozwala w pełni przeżyć doskonałe przedstawienie ambitnego teatru.

JERZY HORDYŃSKI

SALOMEA GAWROŃSKA — projekt dekoracji do „Snu nocy letniej" Szekspira

O impresje z WYSTAWY PROKULEWICZA

M. PRAUST kiedyś przez usta jednego z bohaterów „W poszukiwaniu straconego czasu" określił obraz słynnego artysty — jako kipiącą czerwień i biel. W tym wyraża się niewątpliwie słuszne przekonanie o niemożliwości znalezienia wspólnego języka dla malarstwa i literatury, niemożności przełożenia jednej sztuki na język drugiej.

Nie można opisać obrazu — można co najwyżej próbować słowami zilustrować wrażenia jakie jego oglądanie na nas sprawia. Takie refleksje nasuwają mi się zazwyczaj na wystawach plastycznych, szczególnie, gdy oglądam obrazy — wywołujące głębokie wzruszenia i przeżycia. Tak również stało się na ostatnio zwiedzanej wystawie prac Romana Prokulewicza.

ROMAN PROKULEWICZ w karykaturze Jerzego Sienkiewicza

Młody artysta tym razem zaprezentował grafikę — kilkadziesiąt jednobarwnych i kolorowych monotypii. Tematyka tych obrazów jest rozmaita. Obok lirycznych „pocałunków", „narzeczonych", „deszczu", znajdują się prace, do których bodźce dały wielkie zdarzenia, patos i tragizm wojny np. w cyklu „Korea", czy też tematy nędzy ludzkiej, wstrząsająca grafika „W więzieniu", „Dokerzy" — a przede wszystkim jeden z najlepszych i najtragiczniejszych obrazów pt. „Człowiek z Hiroszimy".

Oczywiście niesposób w krótkich refleksjach zdobyć się na głębsze wartościowania. Wydaje mi się jednak, że Prokulewicz osiągnął tu największą dojrzałość artystyczną. Równie wzruszyła mnie kolorowa monotypia pt. „Dziewczyna z festiwalu", aczkolwiek i środki wyrazu i sposób spojrzenia na przedmiot są diametralnie różne — Prokulewicz eksperymentuje.

Obok prac utrzymanych w konwencji impresjonistycznej mamy nowatorskie próby, zbliżające go do Picassa. W ogóle zaciążyło na nim malarstwo francuskie. Dobre to i złe. Wybór tradycji jest rzeczą ważną i nieobojętną. Wolę za patronów Picassa i Matisse'a — aniżeli uczesanych mistrzów drugorzędnej palety. Michałowski również i dlatego w ubiegłym stuleciu zdobył rozgłos bo trafnie wybrał sobie patronów. Ale tradycja sama nie wystarcza, trzeba ją przezwyciężyć siłą własnego talentu.

Przy całym dynamizmie i rozmachu nie ufa niestety Prokulewicz własnemu spojrzeniu. Jeśli cokolwiek wolno artyście radzić, to chyba tylko więcej prac studyjnych z natury. Np. Prokulewicz szuka często podniety w literaturze—a prawie zupełnie unika „martwych natur". „Jeżeli na wystawie znajdzie się parę dobrych prac, to warto ją zwiedzić" — mawiał pewien znakomity malarz. W tym wypadku prac takich znalazłem sporo. Szkoda, że Prokulewicz zawężył ją do grafiki — jego szczególna wrażliwość na barwę pozwala przypuszczać, że malarstwo, które znam z niewielkiej ilości prac, godniej i pełniej by go reprezentowało. W każdym razie mimo iż obecna wystawa niezbyt szczęśliwie została technicznie urządzona (prace w gablotkach) nie tylko zasługuje na zwiedzenie, ale również na pokazanie jej w innych większych ośrodkach życia artystycznego.

ANDRZEJ BRZEZINA

KRONIKA kulturalna

JO SE CHŁOPOK OD RZESZOWA oraz 31 innych piosenek regionalnych rozmieszczonych w trójkącie terytorialnym Jasło—Tarnobrzeg — Przemyśl, reprezentujących tym samym województwo rzeszowskie — zawierają wydane ostatnio przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne „Piosenki z Rzeszowskiego". Ten niewielki, ale bardzo starannie przez Aleksandra Pawlaka opracowany zbiorek przynosi z jednej strony wybór z prac A. Salonicego „Lud łańcucki" i „Lud rzeszowski", drukowany w „Materiałach Antropol.-Archeol. i Etnogr." jeszcze w roku 1903 i 1906, z drugiej strony zaś wybór z nagrań Państwowego Instytutu Sztuki, przeprowadzonych w latach 1950 i 1953 na terenie województwa rzeszowskiego. Jak dowiedujemy się ze wstępu „Pieśni zawarte w zbiorku pochodzą z terenu, którego ludność nie stanowi jednolitej całości etnicznej. Wśród tej ludności wyodrębniają się zdecydowanie dwie grupy: grupa rzeszowska (Rzeszowiacy) i łańcucka oraz północna (Lasowiacy i Borowiacy)". Aleksander Pawlak pisze także na wstępie:

„Pieśni rzeszowskie są żywe, skoczne i wesołe. Charakter ich wiąże się z temperamentem wykonawców i jest jakby odzwierciedleniem usposobienia ludu rzeszowskiego, pełnego pogody, niezwykle gościnnego i wesołego". Na szczególne uznanie zasługuje fakt, że zbiorek „Piosenki z Rzeszowskiego", pomyślany jako praktyczny śpiewnik i przeznaczony do użytku w świetlicach i zespołach amatorskich — odznacza się mimo niskiej ceny (tylko 3 złote) bardzo starannym drukiem i ładną szatą graficzną (przerywniki Nikodema Pulki oparte na motywach zdobniczych zaczerpniętych z rzeszowskiej sztuki ludowej).

◆

NA CIEKAWY EKSPERYMENT zdobył się Państwowy Teatr Lalki i Aktora w Toruniu „Baj Pomorski". Oto w dziesięciolecie swego istnienia teatr ten wystawił „Sen nocy letniej" Szekspira. Bez obejrzenia spektaklu na własne oczy trudno rozstrzygnąć, czy udała się tak dalece eksperymentalna próba zainscenizowania szekspirowskiej komedii. Zdaniem recenzentów teatr toruński nie potrafił znaleźć punktu wyjścia dla lalkowej adaptacji skomplikowanego widowiska, udowodnił jednak, że taka adaptacja jest możliwa. Pomysłowe lalki potrafiły zarówno wzruszać w pewnych scenach lirycznych, jak i serdecznie śmieszyć w parodii, czy grotesce.

◆

ZESPÓŁ ESTRADOWY, przeznaczony przede wszystkim do obsługi wsi naszego województwa — powstał w Rzeszowie z inicjatywy krakowskiego Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych i jego rzeszowskiej delegatury. Po kilkakrotnych eliminacjach udało się nareszcie skompletować pełną, siedmioosobową obsadę. Obecnie rzeszowska estrada przygotowuje swój pierwszy program — komedię muzyczną w czterech obrazach pióra Stefana Chmielnickiego pod tytułem „Kłopoty z miłością", do której teksty piosenek napisali Stefan Chmielnicki i Jerzy Bober, muzykę zaś skomponowali Józef Podobiński i Leon Rzewuski. Premiera „Kłopotów z miłością" przewidziana jest w pierwszej połowie maja. Następny program rzeszowskiego zespołu estrady wiejskiej ma być w całości poświęcony aktualnym sprawom rzeszowskim — myślą już o nim młodzi rzeszowscy satyrycy i dziennikarze.

◆

W KAŃCZUDZE ROZPOCZĄŁ SIĘ w ubiegłą niedzielę Przegląd Wiejskich Zespołów Teatralnych powiatu przeworskiego, zorganizowany przez Oddział Kultury Prezydium PRN w Przeworsku wspólnie z zarządami powiatowymi ZSCh i ZMP. W pierwszym dniu Przeglądu wystąpiły następujące zespoły: świetlica z Pantalowic, która przygotowała sztukę Bałtuszica „Pieją koguty" w reżyserii Marii Świątoniowskiej, zespół z Łopuszki Wielkiej — „Panna Maliczewska" Zapolskiej w reżyserii Karola Pydo, zespół z Manasterza — „Zaloty" J. Kupały w reżyserii Mariana Wyszatyckiego oraz świetlicznie z Sietesy, którzy przygotowali „Pana Damazego" Blizińskiego. Po przedstawieniach sąd Przeglądu złożony ze specjalistów od zagadnień teatralnych i oświatowych odbył z zespołami konsultacje udzielając im porad, a także przeprowa-

(Dokończenie na str. 4)

• PODYSKUTUJMY • PODYSKUTUJMY • PODYSKUTUJMY •

Jeszcze o wystawie reprodukcji

W NASZYCH rzeszowskich warunkach gdzie dzieł oryginalnych jest mało, wystawy reprodukcji powinny odegrać dużą rolę. Mogą one z jednej strony, zapoznać widzów z historycznym rozwojem sztuki a z drugiej, pokazując dzieła wielkich mistrzów, kształcić artystyczny smak społeczeństwa.

Trudno powiedzieć, że smak naszego widza jest całkiem niewykształcony. Niestety jest on wykształcony przeważnie na słabych XIX-wiecznych przykładach naturalistycznego malarstwa, szczególnie niemieckiego. Przykłady te rozchodzące się w masowych nakładach w postaci pocztówek czy litografii wykształciły w dużej części społeczeństwa trwałe i trudne do wykorzenienia upodobania. Widz, któremu takie malarstwo się podoba nie mając okazji zaznajomić się z innym, nie może w rezultacie zrozumieć malarstwa współczesnego.

Każda więc próba zapoznania społeczeństwa z dziełami sztuki jest bardzo pożądana. Dlatego też inicjatywę młodych rzeszowskich malarzy (zwanych grupą 14), którzy zorganizowali „Wystawę reprodukcji obrazów wielkich mistrzów" należy osądzić jako bardzo cenną. Za pomocą tej wystawy malarze rzeszowscy chcieli zapoznać społeczeństwo z bogactwem i rozmaitością dzieł malarskich, a przez to kształcić w odbiorcy dobry smak plastyczny.

Czy tego rodzaju wystawa może ten cel chociaż częściowo osiągnąć? Jedyna recenzja napisana przez Irenę Kostułowską i Wandę Koterwę dla „Nowin Tygodnia" jest dla wystawy niezbyt pochlebna. Wydaje się, że autorki nie docenianą możliwości reprodukcji. W naszych warunkach reprodukcja musi zastąpić oryginał. Zresztą dobre odtworzenie (a na wystawie dobrych reprodukcji było sporo) ma większą wartość od słabego oryginału i potrafi wzbudzić głębsze wzruszenie estetyczne. Gdyby odtworzenia obrazów mistrzów sztuki były powszechnie znane, bylibyśmy na pewno narodem o dużej kulturze plastycznej.

Różne są sposoby urządzania wystaw a organizatorzy mają prawo wyboru. Zresztą często widz spotykający się ze sztuką rzadko (a o takiego tu chodzi) zwraca większą uwagę na różnorodność oglądanych obrazów, niż ich historyczny układ. Dlatego też nie można organizatorom wystawy czynić z tego powodu zarzutu. Natomiast można mieć do nich pretensje, że nie zastosowali do ekspozycji wystawy jakiejś jednolitej zasady. Jeżeli nie zastosowano konsekwentnie zasady rozwoju historycznego (jak chciałyby autorki polemiki) należałoby trzymać się jakiejś innej zasady czy to podziału na szkoły narodowe, czy gatunki malarskie jak martwa natura, pejzaż, sceny figuralne, czy malarstwo świeckie, religijne itp. Organizatorzy zastosowali częściowo wszystkie te zasady, przez co ogólny obraz wystawy jest trochę niejasny. Mimo tych błędów uważam, że wystawa była godna obejrzenia.

Wreszcie wydaje mi się, że dobrze byłoby, gdyby autorki polemiki nawiązały kontakt z młodymi plastykami (i na odwrót), wspólna praca dałaby na pewno lepsze wyniki.

MAGDALENA MALINOWSKA

Jednak odpowiadam

DŁUGO nie odpowiadałam autorowi notatki polemicznej pt. „O muzyce i polemice" zamieszczonej w 8 numerze „Nowin Tygodnia" sprawiając mu tym prawdopodobnie cichą radość. Autor sądził, że przy pisaniu notatki miałam pomocników, mylił się jednak. Pisałam sama i sama muszę odpisać. Ale dziś, kiedy już nareszcie — po długiej chorobie — mogę „ująć pióro w dłoń", nie jestem dostatecznie przekonana o tym, czy w ogóle powinnam odpowiedzieć.

PO PIERWSZE dlatego, że o ile zrozumiałam autora (a przyszło mi to z wielką trudnością) zwłaszcza odnośnie wstępnej dygresji, następujących po niej rozważaniach na temat muzyki, a w końcu odnośnie procesu myślowego przy grze. Fragmenty te zachwycały ornamentyką, spoza której trudno było dojrzeć zasadniczy temat i może na by je właściwie zrozumieć tylko wtedy, gdyby autor zechciał łaskawie przełożyć to co napisał na język polski.

Otóż właśnie, na ile zrozumiałam autora, to widzę jasno, że autor nie zrozumiał ani mojej skromnej wypowiedzi, ani też intencji w niej zawartych.

PO DRUGIE dlatego, że ani fakt, iż ktoś bywa na koncertach w Rzeszowie i Przemyślu, ani to, że słyszał dwukrotnie V Symfonię Czajkowskiego w Krakowie, ani też to, że czytuje recenzje zamieszczane w krakowskich czasopismach (ach, jakże czułby się zażenowany oblecujący młody recenzent kol. Parzyński, gdyby przeczytał, że został wymieniony jednym tchem z tak poważnym autorytetem jakim jest np. prof. Kisielewski) ani nawet to, że się przeczytało, choćby najdokładniej małą monografię dr Łobaczewskiej o Beethovenie — nie upoważnia do zabierania głosu w sprawach muzycznych.

PO TRZECIE, jeśli uważałam, że autor recenzujący życie muzyczne Rzeszowa nie wykazał dostatecznej znajomości przedmiotu (zwłaszcza w zakresie muzyki instrumentalnej), to dużo gorzej przedstawia się ta sprawa u autora „Muzyki i polemiki". Dlatego też nie wyjaśniam spraw, o które zaczepił autor w sposób raczej mglisty i zawiły, niż fachowy, złośliwą arogancją pokrywając brak znajomości rzeczy. Wszelka polemika i dyskusja zwłaszcza jeśli odbywa się na łamach prasy, musi odbywać się w atmosferze kulturalnej.

Autor — „Muzyki i polemiki" — wzywa muzykologów województwa rzeszowskiego, aby zabrali głos w sprawie poruszonej przeze mnie. O to właśnie chodzi. Któż może być bardziej powołany do mówienia i pisania o sprawach muzycznych, jak nie muzykolodzy? Dlaczego oni tak rzadko piszą recenzje, artykuły, polemiki? Dlaczego, nie oni odpowiedzieli na zadane przeze mnie w „Chcę tylko zapytać" pytanie?

Jak pan myśli, autorze, może po prostu dlatego, że byli po mojej stronie?

Z. R.

»Estrada« wyjaśnia...

PRZED tygodniem pozwoliłem sobie w imieniu dyrekcji PPIE w Krakowie przesłać na Wasze ręce list w sprawie notatki — „Prztyczka" zamieszczonej w nr 14 „Nowin Tygodnia". Niestety, mój list (może zbyt obszerny?) nie ukazał się na Waszych łamach. Natomiast jak wynika z nr 15 „Nowin Tygodnia", przeczytałem z niemałym zdziwieniem „Notatki superpolemiczne" niejakiego Hipolita Ziemby który w „cudowny" sposób wczuł się w rolę opisywanego przez siebie iluzjonisty i rozpoczął superpolemikę z nie wydrukowanym tekstem nie śmiem — przypuszczać — że właśnie moim...

Proszę więc o zamieszczenie w skrótach, mojej poprzedniej wypowiedzi: W związku z Prztyczkiem „Niech to zostanie raczej między wami" — ośmielam się napisać o niektórych faktach niezgodnych z prawdą.

PO PIERWSZE: Wyraźna złośliwość w sprawie dopisku na afiszu „program dozwolony od lat 18" — ani nie jest „chwytem" ratującym program — ani tłumaczeniem, że ów dopisek sprowadzi kompiet widzów na salę DK WSK — nie wytrzymuje próby życia, ponieważ w wypadku, gdyby program istotnie opierał się na niezdrowej reklamie — odbiłoby się to w następnym dniu na frekwencji w powtórzonej imprezie.

PO DRUGIE: Niezgodne z prawdą jest częściowe twierdzenie „jura", że impreza nie ma nic wspólnego z estradą, kabaretem, czy teatrem. Rzeczywiście, z teatrem nie ma nic wspólnego, ponieważ nawet młodzież do lat 18 zdaje sobie sprawę, że estrada — to nie teatr. Trudno mi, w krótkim liście wytłumaczyć „jurowi" to, co powinien na ten temat wiedzieć w ramach przynajmniej średniego wykształcenia. — Program jest rewią estradową, a niektóre jego elementy mają charakter także i kabaretowy (np. Trzy dziewice).

PO TRZECIE: Oczywiście, wolno recenzentowi „nudzić się na pudy" — ale nie sądzę, żeby przerywanie oklaskami poszczególnych punktów programu — służyło mu za podkład do takiej oceny...

PO CZWARTE: Jest zwykłym nonsensem twierdzenie, że PPIE w Krakowie podjęło zobowiązanie „nawiedzania" Waszego województwa słabiutkimi imprezami. Nikt z nas nie lekceważy rzeszowskich widzów i słuchaczy. O słabościach „Estrady" napisano już wiele. Rzeczowa analiza krytyczna przyczyniła się niejednokrotnie do usunięcia naszych błędów. Tymczasem Wasz Prztyczek starannie omija konkrety! Łatwo natomiast wyrokuje: „a jeżeli już ten zespół musi występować, to proponujemy traktowanie całego spektaklu jako warsztatu dramaturgicznego. Młodzi adepci sztuki estradowej mogliby się uczyć na tym przedstawieniu jak nie należy przygotowywać tego rodzaju imprez". — Nie wiem, czy reżyser i autor programu, Władysław Krzemiński mógłby się czegoś w tym względzie nauczyć od „jura" — i czy „jur" widział kiedykolwiek warsztat dramaturgiczny, ale z tego, co napisał wynika niedwuznacznie, że nawet złośliwe intencje nie przesłonią braków warsztatu pisarskiego, a nie tylko rozeznania w pojęciu warsztatu dramaturgicznego. Niestety, nie każdy rodzi się Boyem.

RESUME: Doceniam jak najpełniej rolę i zadania naszej prasy, szczycącej się odpowiedzialnością za słowo pisane. Ale, wybaczcie, w okresie — kiedy wszyscy wołamy o pomocną, nawet najostrzejszą krytykę — dowcipkarskie krytykanctwo z pasją godną lepszej sprawy — podważa zaufanie w rzeczową i pełnowartościową informację czytelnika.

Notatkami super-polemicznymi „stałego bywalca imprez estradowych, Hipolita Ziemby" — trudno mi się zajmować, ponieważ mój skromny warsztat literacki nie dorasta do pięt owych znakomitości super-pióra, którego błyskotliwy dowcip, zjadliwość i odkrywczość tematyki czynią godnym „szukania zadośćuczynienia za pomocą desek scenicznych". Te deski są niemal symboliczne... Metafory w rodzaju „kataklizmy śmiechu" i bezpardonowa odwaga w atakowaniu „rozrywki o przedwojennym poziomie" (ho, ho!) — to bardzo mocna rzecz. Reszty cytatów nie przytaczam. Ciekawych odsyłam do pełnej super-notatki. Sapient! sat.

JERZY BÓBER
kierownik artystyczny PPIE w Krakowie

KRONIKA kulturalna

(Dokończenie ze str. 3)

dając dyskusyjną ocenę sztuki i przedstawienia.

◆

W KONKURSIE CZYTELNICZYM CRZZ bierze udział 78 uczestników — czytelników biblioteki stałej przy Zarządzie Okręgu Zw. Zaw. Prac. Gosp. Komunalnej w Rzeszowie. W pierwszym kwartale placówka ta osiągnęła liczbę 276 czytelników systematycznie wypożyczających książki. Ponadto staraniem Zarządu Okręgu Zw. Zaw. Prac. Gosp. Komunalnej zorganizowano od 1 stycznia br. 7 punktów bibliotecznych prowadzonych przez tak zwanych „księgonoszy" pod opieką instruktorską bibliotekarzy z biblioteki stałej. Poważną przeszkodą w pracy oświatowej i popularyzacji czytelnictwa na terenie Zw. Zaw. Prac. Gosp. Komunalnej w Rzeszowie była niegościnna, bo wyjątkowo zimna świetlica.

◆

W CZUDCU POWSTAŁ ZESPÓŁ TEATRALNY „SCENA" przy kole ZZNP. Pierwsze przedstawienie dano w kwietniu, a mianowicie komedię Fredry „Damy i huzary". W przygotowaniu zespół ma „Zakochanych" Goldoniego. Ofiarna praca „Sceny" z Czudca w której przodują: Mazan, Pokrzywa, B. Rykała i M. Rykała oraz M. Żybura zasługuje na żywsze zainteresowanie ze strony Oddziału Kultury w Strzyżowie.

◆

PLANOWO I SYSTEMATYCZNIE pracuje amatorski zespół teatralny przy świetlicy naftowców w Humniskach (pow. brzozowski). Po „Ślubach panieńskich" Fredry zespół ten wystawił ostatnio wesołą komedię — farsę na tematy współczesne — „Imieniny pana dyrektora" Z. Skowrońskiego i J. Słotwińskiego.

Obydwie sztuki reżyserował instruktor zespołu Mieczysław Jabłoński. „Imieniny pana dyrektora" cieszyły się wielkim powodzeniem nie tylko w Humniskach, ale i w Grabownicy. W dalszych planach repertuarowych mają naftowcy z Humnisk fredrowską „Zemstę" i znowu utwór współczesnego autora.

◆

TYSIĄC PIĘĆSET ODCZYTÓW na terenie województwa rzeszowskiego — oto dorobek TWP w pierwszym kwartale bieżącego roku. Jest to niemałe osiągnięcie, jeśli wziąć pod uwagę tegoroczne mrozy i związane z nimi trudności komunikacyjne. Z tej liczby 647 prelekcji przypada na tematykę przyrodniczą i medyczną, 315 na tematykę rolniczą, 306 na zagadnienia społeczno-polityczne. Wygłoszono także 170 odczytów historycznych, 56 technicznych, 40 literacko-artystycznych. Na szczególną uwagę zasługują tematy regionalne, którym poświęcono 11 odczytów. Od października działa w Rzeszowie Lektorium Wojewódzkie TWP. Odczyty Lektorium Wojewódzkiego odbywają się w odstępach tygodniowych w sali WRZZ i dzięki ciekawym tematom, a także dzięki udziałowi wybitnych prelegentów-specjalistów skupiają przeciętnie około stu dwudziestu słuchaczy. Największą dotychczas frekwencją cieszył się temat „O dzieciach wychowanych w izolacji" (mgr Anna Leńkowa, prac. naukowy U. J.) Bardzo ożywiona i ciekawa dyskusja rozwinęła się po odczycie doc. Franciszka Kotuli „Rozwój przestrzenny Rzeszowa w ciągu wieków". W ramach najbliższych odczytów lektorskich TWP, prof. dr Zbigniew Kamiński (WSR) omówi „Niektóre aktualne problemy zootechniki".

◆

„ZEMSTĘ" i „OSTRY DYŻUR" — przygotowuje jednocześnie Państwowy Teatr Ziemi Rzeszowskiej jako najbliższe premiery po „Śnie nocy letniej". Najpopularniejszą spośród komedii fredrowskich zobaczymy w reżyserii Bronisława Kassowskiego i w oprawie scenograficznej Ireny Perkowskiej. Sztukę Jerzego Lutowskiego „Ostry dyżur", którą uznano za jedną z najciekawszych napisanych ostatnio sztuk współczesnych, reżyseruje Ireneusz Erwan, scenografię zaś projektuje Salomea Gawrońska.